Tom IV. Nr. 4.

1. Lutego. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zygmunt stary, król polski,

i Jan z Tarnowa, wojownik.

Nie byłci Zygmunt cale starym, jak postąpił na królestwo po swoim bracie; i owszem, młody był i urodziwy, a siłę to taką miał w sobie, że szyny żelazne łamał niby patyki, a sznury najgrubsze to rwał jak nici. Nic by to jeszcze wszystko nie było; ale Zygmunt miał serce dobre, kochał ziemię polską jak rodzoną matkę, a sprawiedliwości we wszystkiem pilnował jak oka w głowie.

Nic też i dziwnego nie było, że Zygmunt potrafił jakoś wszystko do ładu doprowadzić. *Na pochyłe drzewo to i koza skacze*, tak też i na naszą Polskę nachodzili wtedy wrogi, ale nowy król umiał sobie dać radę. Wpadli Wołochy, a on wygonił to bractwo, i jeszcze ich we własnym kraju poturbował. Namówili Niemcy Krzyżaków, żeby się rzucili na Polskę, to nasi im takiego pieprzu natarli, że aż książę pruski, co ni-

mi przywodził, musiał przepraszać Zygmunta. A pamiętna to historja, jak ten książę naszego króla przepraszał. Na środku krakowskiego rynku wystawili tron wielki; na tronie zasiadł Zygmunt i radni panowie naokoło, a ów książę pruski przyszedł, i klęknął, i tak publicznie przysięgał na wierność polskiemu królowi. Ha, były to czasy inne, bo teraz my musimy zginać kark przed Prusakiem.

Nie skończyło się na tych wrogach. Ledwie że król miał czas się ożenić, aż tu wpadają Tatary na naszą ziemię. Jak Krzyżaków Niemcy podmówili, tak tych to znowu car moskiewski nabechtał, bo go zazdrość brała, że w Polsce tak dobrze się rządzić zaczęli. Cma była niezliczona tych poganów. Nasi pobili ich w jednem miejscu, ale oni poturbowali nas znowu w innem. Owoż pod miastem *Sokalem* naszych było niewiele, a tamtych siła ogromna, więc też musiało nasze wojsko przegrać oną bitwę.

Przecież jakoś Pan Bóg dał, że Polska nie zginęła. Bo i ono plugastwo pogańskie poszło sobie z naszej ziemi, a i Moskalowi też nie zapomnieli! A owszem ulitował się Pan Bóg nad Polakami, bo trafił się właśnie tęgi wojownik, niejaki *Jan z Tarnowa*, a takiego nam właśnie było trzeba. Pomiarkował i król owego Tarnowskiego, że człek bardzo wyćwiczony we wojennej sztuce, więc niewiele myślący zrobił go najwyższym dowódzcą nad całem wojskiem.

Jakoż dobrze się to stało, bo licho nie poszło spać, i nadeszła świeża potrzeba krzątać się z nieprzyjacielem.

Spokojnie było jakiś czas, aż też przyszły nowiny do Krakowa, że Wołochy znowu się do Polski zabrali, a przybyli z wielkiem wojskiem i siła armat wiezą ze sobą. Król Zygmunt z natury nie był zwykły bić i rozbijać się wojnami, ale cóż było robić?

— Ha — rzecze do Tarnowskiego — zabierajże ty wojsko mój hetmanie, a idź na Wołocha, bo już nie ma rady. Nawet go nie ma co żałować, kiedy taka krnąbrna sztuka, i wlazł nam tutaj bruździć! —

A Tarnowski nato jak na lato.

— W to mi graj — pomyślał sobie, i nuż zwoływać wojsko z całej ziemi a dalej na wroga!

Wołochy też nie żartowali. Spalili nam kilka miast na Pokuciu, i suną sobie dalej jak po swoje. Aleć niedaleko uszli, bo powyż miasta *Kołomyji*, pod *Obertynem* napotkali już na Tarnowskiego z tęgiem wojskiem.

Nie pokazywał się nasz hetman zupełnie z owem wojskiem, jeno udawał, że się Wołochów boi; więc kazał usypać ogromne wały na około, i wykopać rowy co się zowie głębokie, a poustawiał wozy, i tak sobie tam siedzi jak u pana Boga za piecem.

— He, he — pomyślą sobie Wołochy — coś tam kręto z Polakami, kiedy się tak kryją jak lisy w norze! Więc też nabrali wielkiej odwagi, i dalej bić z armat na obóz naszych.

Ale naszym nie szkodziło to wiele; siedzieli sobie spokojnie za swojemi szańcami. A skoro się Wołochy troszeńkę przybliżyli, to jak ich Tarnowski nie każe ołowiem przywitać, tak owo zrobiła się wielka wrzawa między Wołochami, i siła ich popadało jak muchy.

Dopieroż wtedy nasi wypadli z za wozów, i już na ostro zabrali się do wroga. Co tam się działo, to trudno wypowiedzieć; dosyć, że Wołosi uciekali, że się aż kurzyło za nimi, a nasi zabrali ich namioty, i broń i wozy i chorągwie, zgoła wszystko co było.

To też radości było niemało w całej Polsce. Okazale i świetnie wracał Tarnowski z walecznem wojskiem do Krakowa, a ludzie go wszędzie witali, i król Zygmunt uścisnął go serdecznie za ono zwycięztwo. Bo też i było za co; pięćdziesiąt armat wiózł Tarnowski ze sobą, i chorągwie wołoskie, krwawo zdobyte we wojnie.

Chwałę panu Bogu wyśpiewywali ludzie za oną sławę jaką spuścił na ziemię polską; a już najwięcej błogosławili Tarnowskiego Rusini, boć ich to uwolnił on od srogiego najazdu Wołochów. Sam też hetman dziękował niebu za pomoc, a na wieczną pamiątkę zawiesił zdobyte chorągwie przy grobie św. Stanisława, w krakowskim kościele na zamku.

Pieśń
do Matki Boskiej gromnicznej.

Marjo, panienko jasna i przeczysta,
Kotwico niebieska, gwiazdo wieczysta,
W naszej niedoli do Ciebie wołamy
Ciebie błagamy.

Odwróć złe od nas, ulżyj nam w niedoli,
Wybaw od głodu, ognia i niewoli,
Módl się za nami u Twojego syna
Matko jedyna!

Marjo, bolesna Matko Chrystusowa!
Niech Twoja miłość w dobrem nas uchowa,
Niechaj złe myśli z serca nam wyruszy,
Da spokój duszy.

Módl się u Syna Twego Jedynego,
Niech spuści zgodę, miłość dla bliźniego,
Niech się zlituje nad nami biednemi
Tu na tej ziemi.

Marjo, królowo biednej ziemi naszej!
Gniew Twego Syna niechaj złych przestraszy,
Niechaj on spuści na kuszących głowy
Deszcz piorunowy.

Niech nam krew żadna czystych serc nie plami;
Marjo, przeczysta panienko, bądź z nami,
Bądź nam opieką, do Ciebie wołamy,
Ciebie błagamy!

POKUSA.

We wsi Krzemienicy zmarł stary Bartłomiej Kabza. Kabzina, takoż już starucha, mało oczów nie wypłakała za swoim, bo to z górą lat czterdzieści, jak żyli razem przykładnie i uczciwie. Dwóch synów dał im pan Bóg: Grzegorza i Szczepana. Starszy Grzegorz, że trochę utykał na jedną nogę, to go zostawili w domu; ale młodszego Szczepanka zabrali het na wojnę, i już dwa lata jak go nie było we wsi.

Nieboszczyk ojciec rozkazali w testamencie, żeby starszy został na gruncie i żywił matkę przy sobie, a młodszemu dał spłackę. Więc też Grzegorz został przy gruncie, a po roku się ożenił, i jął się gospodarstwa rękami i nogami.

Matka staruszka jeno tyle co mieli czas pobłogosławić młodą parę. W kilka dni po ślubie zamknęła oczy cichutko jak kurka, i poszła za swoim nieboszczykiem.

Takim sposobem został Grzegorz sam jeden na gruncie i przy zagrodzie, a doglądał gospodarstwa, i żałował dla siebie i dla żony, żeby tylko mieć spłackę dla brata, jak powróci z wojska. Ale Szczepan jak nie wracał tak nie wracał. Pięć lat już mijało odkąd go ze wsi wzięli, a tu ani słychu.

Jednego dnia rozeszła się gadka po wsi, że wrócił z wojska syn Macieja Piroga, co siedział za wsią pod lasem. Grzegorz uradowany, wdział duchem kapotę i poskoczył do Macieja, myślący, że się co dowie o Szczepanku.

Jak na szczęście zastał w polu Pirogowego syna. Przywitali się serdecznie, zwyczajnie jak starzy znajomi:

— Mój Kubo, nie wiecie nic o Szczepanie?

— Oj nie wiele mój Grzegorzu — ozwał się Pirog — tyleśmy się jeno widzieli jak nas razem w transporcie pognali do Wiednia, a potem tośmy się już rozeszli, het w inne strony.

— Toć nie wiecie nawet czy żyje? — zawołał Grzegorz zafrasowany.

— Oj, co nie wiem, to nie wiem. Tyle jeno pamiętam, że go na drodze w transporcie mało co nie zabili.

— Co mówicie! A to za co? — krzyknął Grzegorz.

— Ot tak to było — odezwał się Pirog. — Szliśmy w transporcie do Krakowa, i wypadło nam raz nocować we wsi. A wiecie pewnie jak to między żołnierzami, że rzadko gdzie ominą karczmę, kiedy czas potemu. Owoż i w owej wsi zwaliliśmy się do gospody. Bawiliśmy się tam jakiś czas, aż też w końcu jeden i drugi poszedł się spać położyć, a w karczmie nie zostało jeno kilka Niemców urlopników, co byli w naszym transporcie, i Szczepan nieborak, boć taki był zaturbowany, że mu się i spać nie chciało. Owóż licho nadało, że już pod noc przyszedł do owej karczmy staruszek dziadowina, znajomy w gospodzie, a Szczepan dalejże z nim w pogwarek, bo mu się lżej na sercu robiło, jak się miał przed kim wygadać. Aleć owi Niemcy, co sobie już łeb zalali, nuż się naśmiewać z dziada, i z jego długiej brody. Szczepan i staruszek nie zważali nato, ale Niemcy podochoceni dalej starego targać zuchwale za brodę, i torbę mu przetrząsać. To już było za wiele dla Szczepanka, ujął się za dziadem, a z tego przyszło do takiego swaru i do takiej bójki, że kto wie co by się było z obydwoma stało, żeby nie karczmarz, co nas zawołał na ratunek. Myśmy przybiegli, Niemców z gospody wyprowadzili i pozamykali w komorach, a tym sposobem ocalał Szczepan, i dziad mógł sobie dalej pójść w drogę.

— Poczciwe chłopczysko — zawołał Grzegorz i otarł oczy rękawem — ot może powróci jeszcze; przecież tam nie każdego kulka trafia — pomyślał sobie w duszy.

Nie źle też pomyślał sobie Grzegorz, bo we trzy dni zaszczekał stary bryś na podwórku, i potem jął się łasić koło jakiegoś wojaka. A ten wojak, to był nikt inny, jeno Szczepan Kabza.

Ale coś zhardział pan Szczepan we wojsku! To ta jeszcze nic, że na starego brysia ani nie spojrzał, choć pies aż skowyczał z radości; ale z bratem i z bratową to ledwo się powitał, a głowę darł do góry nieprzymierzając jak osieł w trawie.

Grzegorz pokiwał sobie tylko, ale brata przyjął serdecznie, i nie żałował mu łyżki strawy albo okłotu słomy na posłanie.

A tak choć się nie bardzo radowali, to im też i nie na zbyt źle było; aleć to tylko przez trzy dni.

Czwartego dnia zaszedł Szczepan jak zwykle, do karczmy, i kazał sobie dać półkwaterek. Aliści ledwo usiadł na ławie, otwarły się drzwi, i ciekawy człowieczek weszedł do izby. Była to sztuczka niska i pękata; nos jak niedojrzała śliwka czerwony i niebieski wisiał mu pod oczami, żółte pludry ledwo mu się trzymały na nogach, a jak serce u dzwona kiwały się dwa końce niebieskiego fraka z mosiężnemi guzikami, co ledwo że okrywał grzeszne ciało pana pisarza. A jużci pisarzem musiał być ten Jegomość, bo całe zwitkę papierów widać mu było z zapazuchy, kałamarz wisiał na guziku, a pióro trzęsło się za uchem.

— A, jak się ma pan Franc! — zawołał arendarz z za szynkwasu.

— Fibornie pane Moszek, tylko *sem* na czczo! — odrzekł pan Franc, uderzył się po garle, a rękę posunął za półkwaterkiem.

— A ma pan Franc pieniądzów? — zapytał arendarz.

— Ja znajdzie *sem* pane Moszek — zabełkotał pisarz, przechylił półkwaterek, i spojrzał z pode łba na Szczepana.

Szczepan patrzał się jak na dziwo na pana Franca, bo go tu jeszcze nie widział. Inni ludzie znali go już jak zły szeląg, bo ot zwykle przywłoka, swędał się het po wsiach i namawiał uczciwych ludzi do swarów i do procesów, to na pana, to na sąsiada, a darł ze wszystkich, że aż piszczało. Zwali go wszędzie: *Franc przywłoka*, albo *cygańska śliwka*, od owego niebieskiego nosa, a co poczciwszy to uciekał od przywłoki jak od cholery.

Owoż Franc patrzał się chwilkę na Szczepana, a potem zdarł połataną czapkę z łysej głowy i pokłonił mu się nisko:

— *Ich bitte*, ja nie miał *sem* szczęścia znacz pana Dobrożeja. Ja fizę po guzika, że pan *sem* fojak, wielki szlofiek! —

Głupi Szczepan zadarł głowę do góry, słysząc że go pisarz *panem* a do tego *Dobrodziejem* jak księdza proboszcza nazywa. Więc też hardo odezwał się do przywłoki:

— A wojak, wojak, i cóż ztąd?

— O, i ja *sem* byl wojak, pan Dobrożej! *Egzeciren* jeszcze

umiem: *Eins*, *zwei*, *halt*, *marsch* — tu pan Franc położył papiery na stole, a swoim kosturem zaczął wywijać niby karabinem, i skakał przytem jak wróbel na nici.

Szczepanowi spodobało się to, i nuż się śmiać z pijaka; a czem więcej się śmieje, tem więcej podskakuje przywłoka i i wywija kosturem. Tak więc od słowa do słowa zapuścili się w gawędkę. Szczepan nuż opowiadać swoje wojackie sprawy, a nawet potraktowali się wódką jak dobrzy znajomi.

— I cóż pan fojak srobi teraz? — zapytał pisarz przy końcu.

— Ha cóż, pójdę gdzie za parobka, bo młodszy brat siedzi na gruncie i ma mi dać spłackę. —

— So, mlodszy brat, a to jak? — zawołał Franc, i skoczył z ławki jak oparzony.

— A już-ci tak nie inaczej; nieboszczyk tatuś zapisali grunt na niego, bo chromy na jedną nogę, a ja byłem już przy wojsku.

— Ho, ho, to *niks*, to *falsz*, to bil falsziwy testament, pan Dobrożej — krzyknął przywłoka i zasadził na nos okulary — ja będzie prosesofacz! —

— Ej gdzie zaś! — mruknął Szczepan.

Przywłoka przewracał tymczasem swoje papiery; nagle zawołał:

— Gsie masz tfój *Abszit* pan fojak?

Szczepan wyciągnął abszyt i pokazał pisarzowi. Pan Franc spoglądnął dobrze i oddał go Szczepanowi, a sam dalej grzebać w swoich papierach.

— So, nie mówilem, jest, jest! — krzyknął znowu przywłoka i podniósł jakiś arkusz do góry.

— A cóż to takiego? — zapytał Szczepan.

— Testament *falsz*; wasz prat się nazywa Kapza?

— A tak, Kabza Grzegorz.

— Tak, tak, Kszekosz Kapsa, zrobil testament falszywa. Patrz pan fojak, tu jest szarno na bialo. — Przy tych słowach pokazał przywłoka Szczepanowi arkusz zapisanego papieru.

Szczepan nie umiał czytać, ale mu wstydno było pokazać

przed Francem, że nie nauczny. Wziął też arkusz do ręki, a niby to czyta a ogląda, a głową kiwa:

— Patrzajcież patrzajcie! — zawołał nagle i klasnął w ręce.—A toć mi teraz już nie dziwno czego oni się tak uwijają koło mnie, a nadskakują, a tacy życzliwi, żeby mi i krwi ze serdecznego palca utoczyli. He, he, nie głupim.

— A tak, tak, ne klupi pan fojak! Będziemy sem robić proses, pan prat pójdzie do kreminalu, a pan fojak dostanie sem grunt. He? — zapytał wesoło pan pisarz, i zatarł sobie ręce z radości.

Szczepana porwała złość wielka, że mu brat taką krzywdę zrobił. Wybijał pięściami, i wyklinał na czem świat stoi:

— Sprocesuję szelmę, wygonię na dziady ze żoną i dziećmi! To ja nie mam mieć spokojnego kąta, za to żem kości moje terał po świecie? A niedoczekanie wasze!

I znowu wybijał pięściami po stole, aż uczuł, że mu garło wyschło od wielkiego krzyku:

— Moszku dawaj flaszkę z karteczką — zawołał na żyda.

Pan pisarz obliznął się aż po ucho i usiadł blizko Szczepana. Moszko postawił na stole flaszkę z karteczką, a wojak otworzył i wypił do Franca. Tak też na dobre zaczęła się pijatyka, a przytem rady, jakby to brata sprocesować, a grunt mu odebrać i z chałupy wygonić. Przywłoka brał na siebie wszystko to zrobić, a obiecywał Szczepanowi, że niechybnie za trzy tygodnie gospodarzyć będzie na bratowym gruncie.

Słonko było już koło południa, kiedy obadwaj narady skończyli. Pan Franc wziął sześć cwancygierów zadatku na stęple i na papier, i chuchnął w garść na początek; a Szczepanowi tęgo się chybotały nogi, kiedy wracał do zagrody, a wygrażał się pięścią i językiem na brata.

Z pijanym człowiekiem nie ma żadnej rozmowy; więc też i Grzegorz omijał Szczepana i nie zadzierał się z nim, choć ów ledwo przelazł przez próg, to zaraz jął wykrzykiwać na brata i bratowę. Głupiemu a pijanemu to trzeba zawsze z drogi ustąpić; tak też i Grzegorz uciekł z chałupy i zostawił brata z czterema ścianami. A przecież markotno mu było, że Szczepan coś o sfałszowaniu testamentu prawił, coś o oszukaństwie, więc

obiecywał sobie dowiedzieć się o tem wszystkiem po trzeźwemu.

Wieczorkiem, skoro się już Szczepan wyspał i z głowy mu wyszumiało, wziął go brat na ławę przed chałupę i rozpoczął z nim gadkę na rozum:

— Mój bracie, i zkądżeś ty się dowiedział, że ja zfałszował testament i niesprawiedliwie siedzę na gruncie? —

— A widzisz, jak ja wiem o tem dobrze! Ho, ho, ty mnie nie wywiedziesz w pole cygańska duszo! —

— Ależ mój Szczepanie, co do ciebie pszystąpiło! Kto tu ciebie chce krzywdzić? Ojciec zapisali grunt i chałupę na mnie, jako na ułomnego, a tobie przekazali dać spłackę. Toć połowę spłacki dałem ci na rękę, a drugą połowę mam w skrzyni i dam ci kiedy zechcesz.

— Ja nic nie chę! To spłacka dla ciebie, a grunt dla mnie. Ja was sprocesuje, i musicie mi oddać grunt i chałupę. Ja starszy, to mnie się patrzy, a chcę się też i ożenić.

— Ej Szczepanku, to cię ktoś zły podbechtał, a z tego nic nie będzie, jeno obrazy boskiej co niemiara; bo ja stanę przy swojem, i prawo będzie za mną.

— Ha no, zobaczymy! —

— A zobaczymy; choć mi się widzi, że ty źle na tem wyjdziesz. Teraz masz grosz gotowy, a Walenty Drop chce ci dać swoja Zośkę, i chałupę i uczciwy szmat gruntu za nią. Cóżby ci brakowało? Żylibyśmy w zgodzie i w poszanowaniu u ludzi, a tak... hej Szczepanie, Sczepanie!

— Co ty masz mię tu żałować! Ja nie chcę żoninem się bogacić, ja ciebie tu wyprocesuje, wykurzę was jak lisów z nory. Poczekaj ty fałszerniku!

Grzegorza, choć był nie porywczy, zebrała już złość na takie wyzywanie. Skoczył z ławy i krzyknął:

— A teraz ty sobie ruszaj odemnie żołnierska duszo! Wziąłem cię z braterskiej przyjaźni do chałupy, i Bóg świadkiem nie żałowałem tego; a kiedy ty mnie chcesz zgubić, to fora z mego dwora!

Po tych słowach obrócił się Grzegorz na pole, żeby do

bójki nie przyszło, a Szczepan jak niepyszny wyniósł się z chałupy brata, i stanął w karczmie u żyda niby za parobka.

Zaczął się teraz proces. Szczepan łaził od Anasza do Kajfasza, zaś najwięcej radził z przywłoką Francem, a za każdą razą musiał mu dawać kilka cwancygierów na stęple i na papier. Aleć wszystko szło bardzo powoli; ciągło się już dwa miesiące, a daleko było do końca. Już raz nawet przegrali, ale Franc mówił że to nic szkodzi, i zaskarzył Grzegorza aż do Lwowa. Kilka tygodni czekali znowu na tę odpowiedź, a tu nic nie widno.

Raz wieczorem zatoczył się Franc tęgo pijany do gospody.

— *Bruder* Stefan, przegraliśmy fe Lwowie — odezwał się do wojaka.

Szczepan zerwał się z ławy:

— A bodaj ci nogi połamało drabie za taką nowinę! —

Ale Francowi już i tak wódka nogi połamała, bo zwalił się pod piecem i zabełkotał:

— Nic ne szkodzi pan fojak, będziemy pisać do Fidnia, tam zrobią nam *recht!* — Tutaj ziewnął pan pisarz uczciwie, i chrapnął jak kalikant na skrzypiącym miechu.

Szczepan potrącił nogą pijanicę, i wyleciał na dwór. Złość straszliwa opanowała go, że mu się tak wszystko na przekorę dzieje, i już zgoła nie wiedział sobie dać rady. Darł włosy z głowy, wybijał pięścią, przeklinał na czem świat stoi — a wszystko nadaremnie, bo go od złości aż paliło we wnątrzu.

O spaniu nie było gadania. Szczepan przewracał się po słomisku a zasnąć nie mógł, choć było już po północy.

— Ha, pioruny na ciebie przywłoko, i na ciebie jaszczurko, ty mój bracie — myślał w duszy grzeszny Szczepan. — Zgniótłbym was w rękach bestyje! Całą spłackę wydałem już na proces i nie mam prawa po sobie... Ha, ale ja sobie sam prawo zrobię! Kiedy mi nie chcesz oddać zagrody, to nie będzie ani moja ani twoja... Spalę cię fałszerniku! — zawołał Szczepan, i skoczył z posłania przestraszony.

I owa grzeszna myśl czepiła się go jak zły duch. — Spalić, spalić, — kręciło mu się po głowie i brzęczało mu w uszach, a nogi kręciły się jak pijanemu. Nie było już rady w

sumieniu Szczepana na tę myśl grzeszną; wziął kilka powróseł słomianych i siarniczków paczkę, i jakby od złego ducha nagabnięty wymknął się z gospody.

Miesiączek stał już wysoko na czysciutkiem niebie. Noc była ciepła i cicha; jeno tyle co żaby skrzekotały po kałużach, a świerszcze świerkotały po polach. Niby złodziej przekradał się Szczepan miedzami między zrosłe zboże, i zadyszany i rozpalony jak ogień stanął wreszcie wedle zagrody brata Grzegorza.

Tutaj dopiero zaczęło Szczepanowi serce pukać mocno, ale już zgoła nie miał na to rozumu co robi. Zgiął powrósła w połowę, zapalił i chciał wetknąć kilka pod strzechę.. kiedy nagle ruszyło się coś zpod gruszy, i chwyciło go za rękę. Szczepan oniemiał ze strachu i słomę wypuścił z ręki. Jakiś stary człowiek ze siwą brodą stał obok niego i patrzał mu się w oczy. Chwilkę stali obaj cicho, aż wreszcie przemówił stary:

— A co, nie poznajecie mnie Szczepanie? —

— Coś mi się przypomina — wybełkotał Szczepan, i patrzał struchlały w twarz staruszka.

— Pięć lat temu w gospodzie obroniłeś mię od napaści Niemców — rzekł stary — pamiętasz? Za mnie starego, obcego nadstawiałeś wtedy głowy, o mało żeś się nie dał porąbać — a teraz chcesz podpalać rodzonego brata! Szczepanie, Szczepanie, co się z tobą stało? A wtedyś taki był dobry, taki miłujący i chrześciański!

Szczepan spuścił w dół oczy, a ciężko mu się zrobiło na sercu i na powiekach.

— Kto tutaj! — ozwał się nagle głos od chałupy, i z palicą w ręce otworzył drzwi Grzegorz.

— To ja mój Grzegorzu— ozwał się starowina — zamodliłem się w kapliczce przy drodze, i nie zdążyłem na nocleg, coście mi go obiecali, więc też tu pod gruszą chce się ułożyć, bo i tak ślicznie na bożym swiecie.

— A, to wy dziaduszku, cośmy się z wieczora przy figurze spotkali — zawołał Grzegorz. — Czekaliśmy na was długo i z wieczerzą i z noclegiem, a jużem myślał że nie wstąpicie. Chodźcie, chodźcie, i tak sen od oczów ucieka, jakieś widzenia nie-

spokojne trapiły mię; zdało mi się, żem cały w ogniu!... Lecz cóż ty tu robisz Szczepanie — dodał Grzegorz ponuro, zwracając się do brata.

Szczepan zakrył twarz rękami, i trząsł się jak liść osiczyny.

— Ot gawędziliśmy sobie — rzekł staruszek.

Lecz Szczepan zatrząsł się w tej chwili, rozłożył ręce i rzucił się do kolan brata:

— Bracie mój, oskarż mię, zawieź mię do kryminału, niech mię tam zabiją, zamordują, bo ja grzesznik wielki!

Grzegorz spoglądał zdziwiony, i nie wiedział co się to ma znaczyć.

— Ja chciałem cię spalić — wołał dalej Szczepan, potrząsając niedopaloną słomą — chciałem cię z żoną i z dziećmi pozbawić ojcowskiej zagrody! O ja grzesznik wielki — zawołał i ryknął strasznym płaczem.

Grzegorz odwrócił się pochmurny od brata.

— Ruszyło się sumienie w tym człowieku — ozwał się tu staruszek. — Zatwardniało mu serce w dalekim świecie, i nabrało złości, ale uderzyło znowu miłością braterską przy rodzinnej zagrodzie! Grzegorzu, podaj mu rękę na zgodę!

Grzegorzowi popłynęły już łzy sznurkiem po twarzy; rozwarł ramiona, i obydwaj bracia uścisnęli się serdecznie, a Anieli w niebie radowali się z nawrócenia tego jednego grzesznika więcej, jak z dziewięćdziesięciu i dziewięciu sprawiedliwych.

Na drugi dzień rozpowiadał wesoły Szczepan, jak go to przywłoka Franc do wszystkiego złego namówił.

— Ale moiściewy — gadał do staruszka — toć on mi pokazywał napisane, że Grzegorz sfałszował testament nieboszczyka tatusia; a wiedział bestyja aż do imienia jak się oba nazywamy.

— Aleś mu ty pewnie przedtem swoje wojskowe papiery dawał — przerwał staruszek.

— A jużci prawda, pokazywałem mu mój abszyt.

— Ha, ha — zaśmiał się dziadowina — to i cóż dziwnego że wiedział jak się nazywacie, kiedyś ty po imieniu i nazwisku wypisany na abszycie. A że czytać nie umiesz, to ci pokazał

byle jaki arkusz i zełgał, że tam napisane o fałszywym testamencie.

— Aha, tędy go wiedli — zawołał Szczepan i przytknął palec do czoła — ale poczekaj ty przeklęta pokuso, ty przywłoko! — dodał zaciskając pięści, i wyszedł z chałupy.

Wieczorem mówili ludzie, że widzieli Franca jak wychodził ze wsi, a ledwie wlókł ze sobą swoje grzeszne kości. Na jedną nogę niby na przetrąconą ledwie stąpał, a na czerwonym pysku to miał więcej sińców i guzów, jak włosów na łysej pałce. Od tego też czasu nie pokazał się więcej w Krzemionce, i nie namawiał do złych rzeczy uczciwych ludzi.

W sześć niedziel potem hulało pół wsi na weselu Szczepana Kabzy ze Zośką Dropianką. Stary Drop, wdowiec z jedynaczką córką, przyjął Szczepana z otwartemi rękami na swoje gospodarstwo; Grzegorz ściągnął się z ostatniego i dopomógł gotowem grosiwem, a Zośka aż kraśniała z wielkiego szczęścia.

Staruszek dziadowina był także na weselu, a tak mówił do ludzi:

— Moi bracia kochani, strzeżcie się wszelkiej *pokusy!* Czart nie ma władzy nad ziemią, ale są na niej czasem ludzie podobni do czartów, i owi namawiać was będą i kusić do złego. A kiedy was będą namawiać i kusić, czy to na pana we dworze czy na brata sąsiada w poszywanej chałupie, czy do niezgody czy do procesu, wy niesłuchajcie szatańskiej mowy, a złożywszy ręce mówcie: ***I nie wodź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego Amen.***

Pogadanka wiejska.

Tomasz. (wchodząc do chałupy Wojciecha.) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wojciech. Na wieki wieków, amen. Na nabożne powitanie nabożnem wam słowem odpowiadam, ale powiem wam po przyjaźni, po sąsiedzku, że im więcej się Boskiem słowem odkazujecie, tym się więcej was boję.

T. A to czego mój sąsiadeczku? Przecieć Bóg miłosierny....

W. (przerywając.) Mój sąsiedzie, dajcie ino takiej mowie pokój; dawniej mniej mieliście nabożeństwa na ustach, ale zato więcej poczciwości we wszystkiem.

T. A bodaj was Bóg kochał z taką waszą gadką, a i w czemże to dawniej więcej miałem poczciwości jak teraz?

W. Ej! wiela o tem mówić. Dawniej mój sąsiedzie, choć poratowaliście kogo we wsi, czy to ćwiartką zboża na przednowku, czy jakim groszem na podatek, to nie ściągaliście z niego takiej prowizji jak teraz, ino rzekliście po prostu: weź sąsiedzie, a z nowego oddasz mi jak namłócisz. Teraz kiedy was kto prosi, to mówicie: z łaski Boga przenajświętszego, ma się ta krzynę jeszcze żyta, i użyczę ci go na poratunek w potrzebie, ale mi dasz stajko roli pod owies w prowizji. I biedny daje bo co ma robić, chociaż prowizja trzy razy więcej wynosi jak wasz poratunek.

T. Ja nikogo mój sąsiedzie nie przymuszam a Bóg miłosierny....

W. Dawniej mój sąsiedzie nikomu nie robiliście dobytkiem swoim szkody...

T. I teraz nie robię, Bóg moim świadkiem.

W. Jak obce oczy czujecie nad sobą, albo jak nie możecie; ale niech no, na ten przykład w święto, upatrzycie że nas nie ma w doma, to już wtedy i konie wasze, i cielęta i gęsi, hulają po polu gdzie im się ino podoba.

T. A złapaliście, kiedy tak na pewniaka winę na mnie kładziecie?

W. Ba! to też w tem cały wasz rozum, żeby was nie złapano; a choć czasem dójdą ludzie i uchwycą wasz dobytek w szkodzie, to się tak umiecie wykręcać, tak tłumaczyć i zaklinać, że zawdy kończy się na tem, że racya wasza a szkoda nasza.

T. To i cóż ja temu krzywy? Widać że prawda przy mnie, bo ja szkody boję się jak ognia.

W. Albo to prawda. A w dworskich łąkach mało to napasiecie się koni? A koniczyny mało narwiecie dla waszych krów?

T. Mój sąsiedzie, dwór ta zawdy dworem będzie; a że się człek biedny troszka z dworskiego pożywi, toć znów w tem tak wielkiego grzechu nie ma.

W. Mój Tomaszu, ja prosty człowiek, nauki nie mam żadnej w sobie, i taki jak wy gospodarz, ale powiem wam po prostu jak to miarkuję: Każde cudze, czy to dworskie czy chłopskie, to nie moje ino cudze; a kto cudze niszczy albo zabiera, to po prostu kradnie, a kradzież jest grzechem śmiertel-

nym, bo sam Bóg powiedział w przykazaniach: Nie kradnij i nie pożądaj żadnej rzeczy co jest bliźniego twego.

T. Wam by więcej przystało być księdzem jak gospodarzem.

W. Nie pochlebiajcie mi po próżnicy, ino słuchajcie co mówię; bo wam jeszcze dodam, że kto dworskiego nie szanuje, to nie poszanuje chłopskiego, i dlatego to szkodami i dwór niszczycie i nas niszczycie. Ja moi kochani, strzegę dworskiego jako cudzego, tak jak Bóg przykazał, i dla tego sąsiedzi moi nigdy się na mnie o szkodę nie skarzą, i szanują mnie i obserwują, tak jak ja szanuję i obserwuję cudzą pracę. Dawniej...

T. Dawniej mój sąsiedzie byłem wielkim grzesznikiem; zmarnowało się wiele czasu i pieniędzy w karczmie, teraz za to poszczę, modlę się.....

W. (przerywając.) Ściągam prowizję i szkody robię.

T. (pokornie.) Mój słodki Jezu, a i kogoż to tak obdarłem?

W. A Jagnę co musiała wam aż korale oddać.

T. Byliby jej i tak w karczmie kiedy ze szyi zerwali, i zmarnowałyby się.

W. A Jędrzeja, co aż porzucił gospodarstwo.

T. Byłby i tak z niego wyszedł; a mieli wszystko ludzie zabrać, to dobrze że się i mnie coś dostało.

W. A Pawła?

T. I cóż wspominacie takiego pijaka? Przepił więcej, to i to byłby przepił, co ja na nim skorzystałem.

W. A Wasałowie, a Wycykały? a te szkody co na was ludzie płaczą, a dwór już dwa razy w tym roku was fantował?

T. (z gniewem.) O! wy Wojciechu to święty....

W. A wy czysty wilk w owej bajce:

Wilk pokutujący.

Wzięły wilka skrupuły. Wiódł łotrowskie życie,
Więc ażeby pokutę zaczął należycie,
Zrzekł się mięsa, jarzyną żyjąc przez dni kilka.
Znalazł na polowaniu znajomego wilka;
Trzeba pomódz bliźniemu: za pracę usłużną
Zjadł kawał mięsa; gardzić nie można jałmużną.
Spotkał jagnię nazajutrz, samopas idący,
Chciał upomnieć, nastraszyć, zabił je niechcący.
Nazajutrz widząc ciele, że z krową nie chodzi,
Zabił je: takich grzechów cierpieć się nie godzi.
Nazajutrz gdy się pasły z krowami pospołu,
Niech się dłużej nie męczy, zjadł starego wołu.
I tak cierpiąc przykładne z dóbr świata wyzucie,
Chudy, gdy był grzesznikiem, utył na pokucie.

(Km.)

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.